

Elżbieta Wardęszkiewicz

Kołysanka



NOVAE RES

1.

– Co to za hałas? – Spojrzałam z niepokojem na Marcina.

Z dworu dochodziło ujadanie psów. Wybiegliśmy do ogrodu. Na trawniku walczyły ze sobą nasze rottweilery. Orsu przegrywał. Bronił się coraz słabiej i w końcu osunął się na trawę. Bej chwycił go za gardło.

– Ratunku!

Marcin rzucił się w wir walki. Zdecydowanym ruchem chwycił Beja za kark, usiłując oderwać go od Orsulka. Gdy to nie pomagało, chwycił psa za jądra i pociągnął do tyłu. Pies szarpnęła w przód, lecz po chwili zwolnił uścisk na szyi przeciwnika. Orsu ze skowytaniem przywarł do moich nóg. Bej odwrócił się do męża i dysząc, lizał mu ręce. Marcin objął psa. Obejrzałam szyję Orsulka. Na szczęście nie był poraniony. Wróciliśmy do domu. Psy karnie położyły się na swoich postaniach.

– Chyba coś sobie zrobiłem w szyję. – Marcin masował kark.

– Pokaż! – Delikatnie obmacywałam kręgi. – Boli?

– Trochę. Jakby coś przeskoczyło w środku.

– Jedziemy na pogotowie. Trzeba zrobić zdjęcie.

– Nigdzie nie pojedę! Do jutra mi przejdzie.

Rano wstał obolały i pochmurny.

– Nie przeszło mi... – Masował kark. – Coś się napięło i boli. Chyba to poważna kontuzja.

– Wczoraj konsultowałam się z Irkiem. Nalegał, żebyś przyjechała na ortopedię. Od rana przyjmuje w poradni.

– Nie rób śniadania. Jedziemy!

W poczekalni było tłoczno. Część pacjentów okupowała liczne krzesła, inni, oparci o ściany, patrzyli na pozór obojętnym wzrokiem na tych, którzy tłoczyli się przed drzwiami gabinetów lekarskich, w nadziei, że przyspieszą wejście.

- Może przyjdziemy jutro? - Marcin cofnął się odruchowo.
- Jutro będzie taki sam tłok.

Przecisnęłam się przez tłum, zapukałam do gabinetu lekarskiego i otworzyłam drzwi.

- Jesteście? - Irek się uśmiechnął. - Idźcie pod gabinet usg. Pielęgniarka was wywoła.

- Pan doktor zaraz przyjdzie. Proszę rozebrać się do pasa. - Pielęgniarka wskazała Marcinowi krzesło.

Po chwili wszedł Irek.

- Mela mówiła mi, że wczoraj walczyłeś z rottweilerami. Opowiedz dokładnie, jak ta walka wyglądała. - Badał Marcina, delikatnie dotykając jego kark i barki.

- Pies mną szarpnął i głowa poleciała mi gwałtownie w przód i odbiła do tyłu. To się powtórzyło kilka razy. Wczoraj bolał mnie kark, a dzisiaj, jakby tego było mało, boli bark.

- Czyli podobny uraz jak w wypadku drogowym. Usg barku w porządku. Na szczęście nic sobie nie zerwałeś. Teraz idź na rezonans magnetyczny. - Podał skierowanie. - Przyjmę pacjenta i do was dołączę.

Technik kończył nagrywać płytę z badaniem, gdy do pracowni wszedł Irek. Obejrzał zarejestrowane obrazy.

- Nie widzę uszkodzeń. Dyski w porządku. Masz zmiany w kręgosłupie szyjnym, ale to nic niepokojącego. Siadaj, zrobię ci zastrzyk. Po blokadzie ból barku powinien ustąpić. - Wkłuł igłę w okolicę stawu. - No i po wszystkim. Zadzwoń do mnie za dwa dni. Muszę was pożegnać. Pacjenci czekają...

Szliśmy do samochodu. Z niepokojem przyglądałam się mężowi. Zauważyłam nieznaczne drgania głowy.

- Wszystko w porządku? - dopytywałam.

- Poza tym, że coś nie tak w szyi, to wszystko porządku - odpowiedział niechętnie.

Kolejne dni nie przynosiły ulgi. Drżenie głowy się nasiliło.

- Mam wrażenie, jakby między kręgami uwięzło włókno mięśniowe. Nie widzisz, jak mi drga głowa? Przestaje, jak wyciągam rękę do góry. Coś chrupnie, przeskoczy, ale zaraz potem znowu się napina - skarżył się Marcin.

- Zauważyłam drgania. Rozmawiałam o tym z Irkiem. Załatwił nam konsultację u swojego przyjaciela neurologa.

– To wygląda na dystonię karku – powiedział specjalista, oglądając wyniki badań. – Jest wzmożone napięcie mięśnia po stronie prawej.

– Dystonia? – zdziwiłam się.

– Etiologia jest nieznana. W tym przypadku – na skutek urazu.

– Co pan proponuje?

– Podanie botuliny powinno zmniejszyć objawy. Może nawet ustąpią...

– To jedyne leczenie?

– Niestety tak. I to nie radykalne. Poprawa utrzymuje się przez kilka miesięcy. Potem kurację należy powtarzać. Po zastrzykach mogą się pojawić zaburzenia przełykania. Są to powikłania, które ustępują po kilkunastu dniach. Leczenie nie jest tanie. Pan ma dużą masę mięśniową i potrzebne będą trzy ampułki. Jedna kosztuje dwa tysiące złotych.

– Melu, to bardzo dużo pieniędzy. Nie stać nas na to – szepnęła Marcin.

– Nie martw się. Załatwię pieniądze – odpowiedziałam szeptem.

– Kiedy mąż może mieć podany lek? – zwróciłam się do lekarza.

– Jutro o tej samej porze.

– A więc jesteśmy umówieni.

– Melu, nie zgadzam się! To zbyt kosztowna kuracja i do tego co kilka miesięcy trzeba ją powtarzać. – Mąż nerwowo otworzył drzwi samochodu.

– Nie będziemy oszczędzać na zdrowiu. Jedziemy do banku. Kasjerka skrupulatnie odliczyła pieniądze.

– Melu, to wszystkie nasze oszczędności. Spłacamy kredyt...

– Kochanie, jutro rozpoczynamy leczenie. To zdecydowane.

Następne tygodnie mijały w oczekiwaniu na poprawę. Marcin chodził zniechęcony i ponury. Jego nastroju nie poprawiła wizyta Irka.

– Z barkiem wszystko w porządku, ale z szyją nie jest dobrze – skarżył się mój mąż.

– Nie ma poprawy? – zdziwił się Irek. – Gdybyś miał ocenić w procentach, to w jakim stopniu zmniejszyły się skurcze mięśnia?

– Trzydzieści procent, może trzydzieści pięć...

– Czyli poprawa. Miejmy nadzieję, że jeszcze się polepszy. Trzymajcie się tego neurologa, bo to jeden z najlepszych lekarzy w tej branży. Będę uciekał. Bądźmy w kontakcie.

Leżałam na leżaku rozleniwiona słońcem. Patrzyłam na siedzącą obok mnie córkę zatopioną w lekturze opasłego dzieła. Oliwkowa sukienka harmonizowała z kolorem opalenizny. Niesforne kosmyki włosów raz po raz opadały jej na czoło. I tak jak ja wysuwała dolną wargę do przodu, zdmuchując je w kierunku czubka głowy. Patrzyłam na jej szczupłą sylwetkę. Zbyt szczupłą, jak na pierwsze miesiące ciąży. Jola podniosła wzrok znad książki i po chwili ją zamknęła.

– Na dzisiaj dosyć! – Zebrała rozłożone na stole zeszyty i upchała je w plecaku.

– Jak się czujesz? Masz dobrego ginekologa? Wydaje mi się, że schudłaś. Czy na pewno dobrze się odżywasz? Może przeprowadziłabyś się do nas?

– Nie martw się o mnie. Nie zamieszkam z wami. Nie ma o czym mówić. Już się przeprowadziłam do Kamila. Ale ginekologa możesz mi załatwić.

– Powinnaś się dobrze odżywiać. Nie sądzę, by Kamil miał czas o ciebie zadbać...

– Twoje obawy nie mają żadnego uzasadnienia. Cięża to sprawa moja i Kamila. Przy nim czuję się bezpiecznie i życzę każdej kobiecie, by była tak kochana jak ja.

– Podaj mi adres, pod którym mieszkasz, i telefon. – Sięgnęłam po pióro.

– Masz numer mojego telefonu komórkowego i to wystarczy!

– To normalne, że chcę wiedzieć, gdzie mieszkasz.

– Już ci powiedziałam, nie podam adresu! Jak będziesz coś chciała, to zadzwoń na moją komórkę. Muszę już iść. Mam jeszcze dużo pracy. Obrona doktoratu tuż-tuż. – Cmoknęła mnie w policzek i pobiegła w kierunku bramki.

– Dziewczyno, przyniosłem wam świeży sok z pomarańczy. Sam wyciskałem. – Marcin z dumą postawił na stole szklanki pełne żółtostego płynu. – A gdzie jest Jola? – Rozejrzał się po ogrodzie.

– Wyszła.

– Masz dziwną minę.

– Prosiłam, by się do nas wprowadziła. Wydaje mi się, że odżywia się nieregularnie. Chciałam o nią zadbać.

– To dobry pomysł. „Nie ma jak u mamy...” – zanucił.

– Nie żartuj. Nie jest mi do śmiechu. Jola oświadczyła, że wyprowadziła się od mojego ojca i przeprowadziła do Kamila.

– To normalne. Jest ojcem dziecka. Nie widzę problemu.

– Przeprowadzkę rozumiem, ale nie rozumiem, dlaczego odmówiła mi podania swojego nowego adresu. To nie jest normalne.

– Może się droczyła?

– Nie sądzę. Była bardzo stanowcza. Poza tym mam nie najlepsze przecucia co do tego związku. Nigdy nie widziałam, by pan Kamil z miłością wodził za nią oczami. Myślę, że Jola sama się oszukuje. Tak nie wygląda szczęśliwa kobieta.

– Bądźmy życzliwymi obserwatorami gotowymi do pomocy.

– Tylko jak pomóc, gdy nie masz informacji? Kontakt z panem Kamilem jest trudny. Lekceważy nas. Niestety to jest wpływ Joli. Od dawna nie rozumiem postępowania mojej córki. Dla mnie jest oczywiste, że jeżeli partner okazuje lekceważenie i brak szacunku rodzicom swojej „sympatii”, z czasem przeniesie lekceważenie na nią.

– Zgadzam się. Jeżeli kobieta nie szanuje własnych rodziców i tego oczekuje od partnera, to taki związek jest bez szans. My, mężczyźni, czasami wykorzystujemy takie panie, ale rzadko kiedy się z nimi ženimy. U nas głęboko zakorzeniony jest kult rodziny, a szczególnie matki. Szkoda, że ojciec Joli jej tego nie wytłumaczył. Pamiętasz jego rady, gdy skarżyłaś się na arogancję córki i pogarszający się stosunek Joli do mnie? Zwierzył mi się, że syn jego żony działał mu na nerwy. Pewnego razu nie wytrzymał i spuścił mu solidny łomot. Żonie postawił ultimatum: on albo syn. Z domu wyprowadził się syn, a wraz z nim zniknęły problemy. I co z tego przykładu miało dla mnie, dla nas, wynikać? Pozostaje nam mieć nadzieję, że gdy Jola urodzi dziecko, to się zmieni. Głowa do góry!

– Jak się pan czuł po podaniu botuliny? – wypytywał neurolog.

– Skurcze mięśni zmniejszyły się może o połowę, ale od jakiegoś czasu znowu się nasilają.

– Czas na drugie podanie.

Marcin się zawahał.

– Jesteśmy przygotowani. Proszę to zrobić dzisiaj, jeżeli to możliwe – powiedziałam.

Po wyjściu z gabinetu mąż chwycił mnie za łokieć.

– Zatrzymaj się! Stań na chwilę! Skąd wzięłaś pieniądze? Przecież to drugie sześć tysięcy.

– Żyliśmy bardzo oszczędnie. Wiedziałam, że będzie potrzebne drugie podanie leku. Uzbierałam.

– Tyle? To niemożliwe! Powiedz prawdę.

– No dobrze. Powiększyłam nieco kredyt.

– Kobieto, rozum ci odjęło? Przecież z tym się ledwo wyrabiamy.

– Nie martw się. Damy sobie radę. Nie mówiłam ci, bobyś się nie zgodził.

– To prawda.

– Więc sam widzisz.

– Co widzisz? Że bierzesz za dużo na swoje barki?

– Ty dla mnie zrobiłbyś to samo.

– Jesteś moim aniołem.

Tym razem działanie botuliny było mniej skuteczne niż poprzednie podanie. Drgania głowy u Marcina nasiliły się. Skontaktowałam się z neurologiem. zaproponował jeszcze jedno podanie leku. Pojechałam do banku. Doradca finansowy nie widział przeszkód w powiększeniu kredytu. Jednak raty, jakie musielibyśmy spłacać, mogły zachwiać naszym budżetem. Miałam dwa wyjścia. Podjąć dodatkową pracę lub pożyczyć brakującą kwotę. Wróciłam do domu. W przedpokoju zobaczyłam wiszące na wieszaku kurtki Kasi i Stasia.

Weszłam do pokoju Marcina. Kasia siedziała pochmurna na tapczanie. Staś zerkał na dziadka zza pleców matki.

– Kasiu, chciałam z tobą porozmawiać. Wiesz, że tata ma problem z szyją. Zauważyłaś, jak mu skręca głowę w bok? Nie wiem, czy ci mówił, że rozpoznano u niego dystonię. Już dwa razy miał podawaną botulinę. Teraz wypada trzecie podanie. Udało nam się sfinansować dwa podania. Niestety na trzecie brakuje nam pieniędzy. Mamy środki na dwie ampułki, a potrzebne są trzy. Czy mogłabyś pomóc ojcu w zakupie leku? Pożyczyć dwa tysiące?

Zapadła cisza. Kasia znacząco uniosła brwi.

– Na mnie nie licz. Nie pomogę. Mam swoje wydatki. Staś pije dużo soków, a to kosztuje. Nie zamierzam niczego mu ograniczać. – Patrzyła chłodnym wzrokiem, dając mi do zrozumienia, jak niestosowna była moja prośba. – To ja już pójdę. Pa, tatku. Zadzwoń. – Zerwała się z tapczanu i pociągając za sobą dziecko, wyszła.

Zapadła cisza. Żadne z nas nie wiedziało co powiedzieć. Podeszłam do męża i objęłam jego głowę.

– Pora umierać? – Położył głowę na moim ramieniu.

– Melu, chodź szybko! Dzwonił Andrzej. Przyjechali z Krysią z Niemiec na wakacje, chcą nas odwiedzić. Zapowiedzieli się za godzinę.

– Dobrze się składa, bo w piekarniku piecze się królik. Upiekę ciasto. Ty w tym czasie posprzątaj salon.

– Nie przesadzaj z tym sprzątaniem. Nie ma takiej potrzeby. Rano odkurzałaś cały dom. Jest ładna pogoda i posiedzimy przy basenie.

Kończyłam pracę w kuchni. Mój mąż otwierał butelki z winem, gdy zadzwonił dzwonek.

– Przyjechali! – Marcin pobiegł do bramki.

Po chwili całe towarzystwo weszło do kuchni.

– Już przed domem czuliśmy wspaniałe zapachy. Natychmiast poczułem się głodny. – Andrzej podał mi wiązankę frezji.

– Kochanie, zaprowadź naszych gości do ogrodu. Ja zaraz przyjdę.

– Pomogę ci. – Krysia ustawiła półmiski na tacy.

Panowie na nasz widok przerwali rozmowę. Marcin rozlał wino. Andrzej zawołał Ewę i Sebastiana bujających się w hamaku.

– Królik – niebo w gębie. Musisz dać mi przepis. – Krysia oblizywała palce. – Możecie wskoczyć do basenu – zwróciła się do dzieci.

– Nie ma potrzeby ich zachęcać. – Andrzej patrzył na Sebastiana i Ewę, którzy w okamgnieniu przebrali się w kostiumy kąpielowe i wskoczyli do wody.

– Porozmawiajmy. – Krysia spoważniała.

– Macie jakieś kłopoty? – Marcin spojrział na Andrzeja.

– Martwimy się o Sebastiana. Ostatnio bardzo się zmienił. Obawiamy się, że tracimy z nim kontakt. Jest wycofany, pochmurny

i wiecznie niezadowolony. Wydawałoby się, że weekendy, które spędza z nami, powinny nas zbliżyć. A tak nie jest.

– Tylko weekendy? – zdziwił się Marcin.

– Umieściliśmy go w ekskluzywnej szkole z internatem. Po jej ukończeniu nie będzie miał problemów, by rozpocząć studia na najbardziej renomowanych uczelniach w Anglii lub Stanach. – Krysia popatrzyła w kierunku Sebastiana, który wyszedł z basenu i usiadł na brzegu hamaka jakby nieobecny. Po czym wstał i się oddalił.

– Może tęskni za domem? Rozmawialiście z nim? – spytałam.

– Nie raz. Ale rozmowy nic nie dały. Wręcz przeciwnie. Po każdej staje się bardziej zamknięty, nerwowy, arogancki. Jest pełen pretensji i nic mu się nie podoba.

– To są same ogólniki. A konkrety? – Marcin popatrzył na Andrzeja.

– Masz rację: ogólniki. Liczymy na twoją pomoc.

Marcin wstał i podszedł do Sebastiana.

– Przyniosę ciasto. – Zebrałam ze stołu naczynia i ustawiłam na tacy.

– Pomóc ci? – spytała Krysia.

– Nie, dziękuję.

Przez otwarte okno widziałam Sebastiana i Marcina. Mimo wolnie stałam się świadkiem ich rozmowy.

– Czy mogę tu postać razem z tobą? – spytał Marcin.

Sebastian, wsparty łokciami o metalowe ogrodzenie tarasu, wydawał się całkowicie odizolowany od otoczenia.

– Proszę! – odparł tonem, jaki przybierają grzeczne dzieci na herbatce u obcych, ale po krótkim milczeniu dodał: – Lubię, jak jest ciemno, ciepło i pachną kwiaty.

– Dobrze wybierasz. Trochę inaczej niż ja, dla którego ogród jest wyłącznym królestwem mojej Meli.

– To tak, jakbyś też był samotny, wujku...

– Jak to samotny?

– No, tak jak ja...

– Nie jesteś samotny, jesteś bardzo kochany, nie tylko przez mamę, ale tak samo przez ojca!

– Żadna tajemnica! – zachnął się. – Ale mnie wysłali do tego przekłętého internatu. I znów mnie zawiozą. I znów będzie tak samo!

- Za moment będziesz pełnoletni, będziesz mógł się wybrać na medycynę!

- Wujku, zanim skończę osiemnaście lat, czeka mnie jeszcze pół roku w czarnej dziurze. Nie wiem, czy dam radę.

- Chcę zrozumieć, „czarna dziura”?

- Co to znaczy? Że stamtąd żadna informacja nie może wyjść na zewnątrz!

- Sebastian, nie chcesz chyba powiedzieć, że ekskluzywny internat dla, *pardon*, dobrze urodzonych, to zesłanie?

- Oni się nade mną znęcają.

- Jacy oni? Znęcają?

- Szwajcarzy i Niemcy; mówią, że ja Polak! A ja i po niemiecku, i po angielsku rozmawiam i wolę niż po polsku!

- Ale żeby cię z tego powodu prześladować? Nie przesadzasz?

- Wujku, rozmawiają ze mną tylko po to, żeby się naśmiewać albo kiedy czegoś ode mnie chcą!

- A czym ty dysponujesz, czego im brakuje?

- Mogę ich poczęstować trawką! Albo potrzebują kasy w tajemnicy przed swoimi starymi, a mnie nikt nie śledzi!

- Czy zwierzałeś się z tego wszystkiego rodzicom? Mamie? Ojcu?

- Mama potrafi wszystko zorganizować i jest pewna, że wszystko musi iść zgodnie z jej planem, a tacie się wydaje, że ma taką pozycję, szacunek i kasę, że jest w stanie zawsze zagwarantować mi bezpieczeństwo! Ale też jest Polakiem i nawet to podkreśla!

- Nie masz bliskiego kolegi, przyjaciela? To może być zawsze wsparcie.

- Przyjaciela bliskiego to się tam ma, jak się jest z nimi; jak to, wujku, się mówi po polsku, można pieprzyć?

- Chodzi o seks? Między kolegami, czy jak ich nazwać?

- Oczywiście!

- Czy rodzice wiedzą o twoich perypetiach z trawką, dajmy na to, albo z czymś innym? Albo o tych – umówmy się – „przyjaźniach”?

Sebastian milczał. Przechylił się przez balustradę i splunął zapatrzony w dal.

Wróciłam do gości. Po chwili dołączył do nas Marcin. Zobaczyłam Sebastiana idącego w kierunku basenu.

- Udała się rozmowa? – zagadnął Marcina Andrzej.

– Udała się, ale czy ten internat to dobry wybór?

– Świetne otoczenie, poziom edukacji najwyższy, młodemu człowiekowi niczego tam nie może zabraknąć!

– Nie pomyślałeś o tym, że jest jedynym Polakiem w obcym etnicznie środowisku?

– U mnie się leczą Szwajcarki, Niemki i inne nacje, więc o co chodzi? Czy nie jest to naprawdę odpowiednie miejsce dla mojego chłopca?

Rozmowę przerwało szczekanie psów. Marcin poderwał się z krzesła.

– Pewnie przyjechała moja córeczka. Zobaczycie, jak wyrosła od ostatniego spotkania. Wtedy była dzieckiem, a teraz jest już mamą. Poznacie mojego wnuka Stasia. – Pobiegnął w kierunku bramki.

Po chwili ujrzeliśmy zbliżającego się Marcina z Kasią.

– Kochani, oto moja córka. – Marcin z dumą patrzył na Kasię. – Poznajesz Krysię i Andrzeja? To oni w stanie wojennym przysyłali nam paczki, które pomagały przeżyć, a tobie nie brakowało cytrusów i czekolady. Masz teraz okazję osobiście im podziękować. W basenie pływają ich dzieci Sebastian i Ewa. Zabrałaś ze sobą kostium kąpielowy? Jeżeli nie, to Mela zaraz ci coś zorganizuje. – Marcin popatrzył na mnie.

– Witaj! – Andrzej z uśmiechem podniósł się z leżaka. – Dzieci, chodźcie do nas! Poznacie córkę Marcina.

Kasia chłodno popatrzyła na gości, skinęła głową na powitanie i przycupnęła na brzegu krzesła.

– Tatu, wpadłam tylko na chwilę, żeby ci coś wyjaśnić. Mam swoje życie, swoje plany, więc nie dezorganizuj ich telefonami, zmuszając mnie do spotkań z twoimi znajomymi. To są twoi goście. To jest twój kolega, a nie mój wujek. To nie jest moja rodzina. Moja rodzina to ja i moje dziecko. I nikt więcej! – mówiła, akcentując słowa.

Andrzej patrzył na Kasię osłupiałym wzrokiem. Sebastian i Ewa przysłuchiwali się rozmowie. Chłopak z pogardą przyglądał się ojcu, po chwili wstał i odszedł w kąt ogrodu. Ewa przytuliła się do matki i nerwowo skubała brzeg bluzki. Marcin poblądł i spuścił wzrok.

Kasia poderwała się z krzesła.

– No to na mnie pora! Żegnam się. Zadzwoń, jak będę miała wolną chwilę. Nie odprowadzaj mnie, zostań ze swoimi gośćmi – dodała w kierunku ojca.

Trzasnęła bramka.

Głuchą ciszę przerwało wołanie Krysi:

– Dzieci, zbierajcie się. Na nas już pora!

Marcin podszedł do przyjaciela.

– Nic nie mów! – powiedział Andrzej. – Sebastian, pomóż mamie! Weź torbę i rakiety i się pośpiesz! Trzymajcie się – zwrócił się do nas.

Odprowadziliśmy gości do bramki. Wsiadając do samochodu, Krysia odwróciła się pomachała nam ręką.

– Wstyd mi za Kasię. Jak mogła nas tak upokorzyć? To położy się cieniem na mojej przyjaźni z Andrzejem. – Marcin usiadł. – Pamiętam Andrzeja z Kasią na rękach i jak nosił ją na barana. Zaśmiewała się do łez, gdy naśladował konia. – Zamyślił się. Wstał. – Muszę zostać sam. Gdyby dzwoniła Kasia, nie proś mnie do telefonu.

Zapał wieczór. Z pokoju Marcina dochodziło stukanie maszyny. Podeszłam do drzwi.

– Kochanie, przygotowałam kolację.

– Wejź!

Marcin siedział przy biurku.

– Skończyłem! – Wyciągnął kartkę z maszyny.

Zebrał z biurka rozsypane papiery, poukładał je i mi podał.

– Przeczytaj!

Wzięłam maszynopis do ręki. Usiadłam na tapczanie, Marcin skierował w moją stronę lampkę.

GETTO RHEDA

Pociąg zatrzymał się przed budynkiem z neonem „RHEDA”. Peron był pusty. Tuż za Marcinem z sąsiedniego wagonu wysiadło kilku mężczyzn. Z żartobliwych ponagleń do szybszego marszu i poufałych gestów Niemców wynikało, że wspólnie pracowali, a teraz śpieszyli się, by zdążyć do swoich domów przed nocą. Po chwili został sam. Jeszcze trochę rozglądał się po peronie, jakby spodziewał się kogoś spotkać, a potem wszedł do budynku

stacyjnego. Kasy biletowe były zamknięte, tylko na ławce obok rozmównicy telefonicznej siedział krępy mężczyzna o wyglądzie południowca i przyglądał się przybyszowi. Marcin postawił plecak przy ścianie. Po przestudiowaniu instrukcji obsługi ostrożnie podniósł mikrofon, wykręcił numer i wcisnął monetę. Ktoś odebrał telefon, ale słychać było tylko jakąś muzykę i przekrzykujące się głosy. Męski głos powiedział „hallo” i zaraz parsknął śmiechem, do rozmowy usiłowała się włączyć kobieta wołająca coś po niemiecku.

– Czy mogę prosić pana Fijołka? – niecierpliwł się Marcin.

Po drugiej stronie rozbawiona para wyrywała sobie słuchawkę. Mężczyzna wziął górę i Marcin usłyszał:

– Fijołek. Słucham?

– To ja! Marcin! Właśnie przyjechałem z Polski! Umawialiśmy się, że ktoś będzie czekał na dworcu.

– Może. Nie pamiętam – burknął rozmówca i zamilkł. Chyba zakrył dłonią mikrofon, bo ze słuchawki nie dobiegał żaden dźwięk. Po chwili spytał: – Masz adres?

– Mam – odpowiedział Marcin.

– No to przyjeżdżaj. Ktoś po ciebie zejdzie. Cześć!

Marcin usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Chwycił plecak i wyszedł na drogę prowadzącą w kierunku dalekich świateł centrum. Ostatnia taksówka odjechała przed chwilą. Bezradnie patrzył na znikające za zakrętem światelka. Oswoiwszy się z ciemnością, dostrzegł kontury samochodu, kilkanaście metrów za postojem taxi. Drzwi auta otworzyły się i wychylił się właściciel dający znaki ręką, żeby się zbliżył. Marcin rozpoznał mężczyznę z poczekalni.

– Polak? – spytał Marcina, z trudnością łącząc polskie sylaby.

– Skąd pan wie? – zdziwił się Marcin.

Tamten roześmiał się i wskazał miejsce obok siebie.

– My dwa jechacz! Pan daleko?

Marcin wyciągnął karteczkę z adresem i odczytał. Mężczyzna skinął głową. Jechali szybko.

– Jestem wdzięczny, że pan mnie zabrał. W obcym mieście. Nie wiem, jak bym trafił. A tu na mnie czekają rodacy! – zagadywał, zerkając na nieruchomą twarz kierowcy. Podjeżdżali wolno pod wysoki, słabo oświetlony blok.

– *Zehn Marken!* – powiedział kierowca, nie patrząc na Marcina, i otworzył mu drzwi.

Niemile zaskoczony wysokością opłaty, Marcin wręczył mu pieniądze, jakby go parzyły. Sięgnął do tyłu po plecak i wysiadł.

– Dziękuję panu! – Zatrzasnął drzwi.

Samochód natychmiast ruszył. Marcin podszedł do bloku. Wprawdzie domofon znajdował się mniej więcej na poziomie okularów krótkowidza, ale nie mógł z niego skorzystać, nie znajdując w słabo oświetlonym spisie nazwiska, które miał na kartce. Z wysoka dochodziły go dźwięki rytmicznej muzyki. Ktoś wyszedł na balkon, wychylił się i zadarłszy głowę, wykrzykiwał:

– *Ruhe!*

Piętro wyżej na balkonie pojawił się przeciwnik, przewiesił się przez poręcz, jakby chciał wyciągnąć za włosy tego, który głośno domagał się spokoju, i zawył:

– Czekaj, chamie! Zaraz zejść do ciebie i zamknę ci mordę!

Rozbawione towarzystwo siłą ściągnęło wyjca z poręczy, stuknęły zamykane drzwi balkonowe i zrobiło się cicho. Człowiek z balkonu niżej też zniknął. Marcin spojrzał na zegarek i mocniej otulił się kurtką. Dla rozgrzewki zaczął truchtać wokół domu. Nagle drzwi rozwarły się z hukiem i na zewnątrz wytoczyli się dwaj mężczyźni. Jeden z nich zaintonował:

– Ożenię się z Helką, bo ma dupę wielką!

Zatrzymali się przed Marcinem. Niższy szarpnął śpiewaka tak mocno, że obaj omal nie stracili równowagi i ryknął:

– O kurwa! To chyba nasz piczek wędrowniczek!

– Ktoś ty? – zagadnął wyższy, prawie przewracając się na Marcina.

– To ja! Marcin. Kumpel Jurka! Z tobą rozmawiałem przez telefon?

– Może. Nie pamiętam. To po co tu sterczysz jak kij na weselu? Nie przychodzisz na uroczystość?

– Nie mogłem odczytać nazwiska w spisie – tłumaczył Marcin, uradowany, że jest wreszcie wśród rodaków, którzy wzięwszy go pod rękę, ciągnęli do bramy. – Sami rozumiecie, dzwonić na chybił trafił? Budzić ludzi po nocy?

– Ty! Co on pieprzy? – Niski nagle się zatrzymał.

– To tylko tak dla picu. Bo nowy – wyjaśnił wyższy, otwierając kluczem drzwi budynku. Weszli do środka.

Pociągnięty przez niskiego za pasek podtrzymujący plecak do zadymionego korytarza, wpadł na migdałącą się parę. Chłopak z dziewczyną zatoczyli się w stronę ubikacji. Chłopak pomagał jej właśnie ściągnąć majtki, omiótł nieprzytomnym wzrokiem nagłą zmianę otoczenia i silnym kopnięciem zamknął drzwi. Wysoki z ponurym wyrazem twarzy obserwował Marcina, przenosząc ciężar na pięty i odbijając się raz po raz od ściany.

– Jestem Zenek. Możesz tu mieszkać. Ale opłata z góry! Jak każdy. Siedem marek za dobę. Jak chcesz, to możesz od razu za miesiąc, a jeśli nie, to za dwa tygodnie. Forse masz? – zaniepokoił się. – Stówa? W porządku. Resztę odbierzesz jutro – zdecydował. – Nie mam przy sobie, a widzisz, w domu balanga. Tadzia żegnamy! – Wskazał ruchem głowy niskiego. – Rzeczy i plecak powiesz na wieszaku. Chyba że wolisz mieć przy sobie. U mnie każdy robi, co chce! – Kopnął drzwi ubikacji i wrzasnął: – Wychodzić! Weg! To Niemcy – śmiał się zadowolony – Elke i Eryk. Znow kopnął drzwi. Słychać było, jak zaczynają się gramolić. – Zamorduję szczeniaka! – zachichotał. – Pieprzą się, gdzie popadnie. Chodź się bawić, bo wszystko wyżłopia!

Pociągnął Marcina w głąb mieszkania.

Tadek stał w środku pokoju i z kpiącym wyrazem twarzy patrzył, jak młody tłuścioch, przyjmując baletowe pozy, stara się utrzymać rytm rocka. W rogu, przy wielkim, zastawionym butelkami stole, biesiadowało kilka osób. Siedząca na stole dziewczyna wołała coś po niemiecku, wlewając piwo w rozwarte usta brodacza, który odchylił głowę w tył przez oparcie krzesła. Sąsiad dziewczyny, facet o wyglądzie wieśniaka, patrzył na nią zachwyconym wzrokiem i pomagał jej pchać butelkę w usta nieprzytomnego kolegi. Brodacz co chwila się krztusił, aż płyn tryskał mu nosem.

– Kaziu – warknął Zenek. – Chcesz, żeby się udusił? – Potem zaczął besztać po niemiecku dziewczynę.

Zmieszany Kazio chwycił szklanekę z wódką i wypił. Jednak drugą ręką nie tracił kontaktu z Niemką, obejmując jej tydkę. Zenek sięgnął przez stół do bujnych piersi odwróconej do niego plecami dziewczyny i przyciągnął ją do siebie. Pisnęła niby wystraszona, ale nie broniła się, gdy zaczął ją całować. Kazio z głupawym uśmieszkiem przesunął wielką łapę wyżej, jakby chciał

dosięgnąć łona dziewczyny, ale ona gwałtownie wierzgnęła nogą, trafiając w łokieć ramienia zwieńczonego szklanką z resztą płynu.

– O kurwa! – wrzasnął Kazio i zaczął rozcierać łokieć. Dziewczyna przeszła teraz na wolne miejsce po drugiej stronie stołu i znowu przytuliła się do Zenka. Kazio patrzył na nich nienawistnym wzrokiem.

– Oddaj mi, złodzieju, sukienkę – wycodził.

– Jaką sukienkę?! – zaśmiał się cicho Zenek, przecierając dłonią twarz mokrą od pocałunków. – Zapieś, zgubiłeś! A teraz się przypieprasz.

– Ja zgubiłem?! Ja zgubiłem?! – Kazio zatrząsł się z oburzenia. – Dawaj sukienkę! Albo pięć stów! Bo...

Wyraz twarzy Kazia stawał się groźny. Obchodził wolno stół, wpatrzony w Zenka uwalniającego ramię z uścisku powstrzymującej go dziewczyny. Nagle wskoczył między nich Tadek. Zaczął obejmować Kazia, wołając:

– Kaziu! Co ty? Taka uroczystość, a ty się nie bawisz?! Nie pijesz!

– Odsuń się. – Kazio starał się łagodnie wyswobodzić z ramion sięgającego mu do brody kolegi. – Muszę tego złodzieja... – Zaciśnął pięści.

– Kaziu! – wrzasnął Tadek. – Nie chcesz się ze mną napić! Gardzisz moją wódką! Mną gardzisz! – Nagle ściszył głos i posmutniał na swojej rozumnej i przystojnej twarzy. – Bo jestem mniejszy? Słabszy od ciebie... A ja zawsze mówiłem, że z ciebie porządny chłop. Chociaż jestem inżynierem, nigdy ci tego nie dałem odczuć. I szanowałem cię. I twoją wódkę piłem... – zakończył, wydymając usta na znak doznanej obrazy i upokorzenia.

– Ale co ty? Tadziu! – tłumaczył się zbity z tropu Kazio. – Ja tylko tak... Wiesz, że ciebie zawsze uważałem. Tylko chciałem temu złodziejowi... – W jego głosie dało się słyszeć powracającą pasję.

– No to jutro porozmawiacie! Jutro, Kaziu, a dzisiaj pijemy! Bo dziś jest mój dzień! – Tadek pośpiesznie wciskał Kaziowi szklankę, którą już zdążył napelnić. – Przecież my się obaj, Kaziu, szanujemy. Wypij! – ponaglał, sam spełniając toast. – Do dna! Żebyś, Kaziu, jak ja, wracał z harmonią pieniędzy! Tak samo jak ja... – kończył uspokojony, widząc, że Kazio wychyla szklankę. – Żebyś wracał jak panisko!

Tadek wziął Kazia pod ramię i pociągnął na wolne miejsce obok Marcina. Sam zajął krzesło po lewej ręce Kazia, dbając, by kolega miał stale pełną szklankę. Spity jak bela brodacz gdzieś zniknął. Prawym sąsiadem Marcina był zachmurzony blondyn, który sączył piwo, rzucając posępne spojrzenia na Zenka.

– Powinien Tadekowi postawić flachę – zagadnął.

– Dlaczego? – zdziwił się Marcin.

– Bo gdyby nie Tadek, to zarobiłby w mordę.

Wulgarna oczywistość płynąca z tej konstatacji nie stanowiła dla Marcina żadnej wskazówki co do tego, czy powinien zająć jakieś stanowisko, czy też zachować neutralność. W żadnym razie nie życzył sobie konfliktu ze świeżo poznanym blondynem, zaczął więc ugodowo:

– Przyznasz jednak, że moment nie był odpowiedni. W końcu Zenek jest w swoim mieszkaniu i wszyscy jesteśmy jego gośćmi.

Chłopak ostro spojrział na Marcina:

– Ty skąd?

– Z Krakowa – powiedział Marcin.

– A! To w porządku. – Rozmówca mocno ścisnął mu dłoń. – Jestem Mietek. Brodacz, co wyszedł rzygać, i ten, co tańczy, też są krakowiakami. A ja z bratem Kaziem – wskazał uspiętego z głową na stole mężczyznę – gospodarzymy pod Aleksandrowem. To jak-by z Łodzi. Tylko Tadek i Zenek z Warszawy. – Wydął pogardliwie usta. – A ty trzymasz z nami? – Zajrzał Marcinowi w twarz.

– Ja trzymam ze wszystkimi rodakami! – zadeklarował Marcin.

– Słuchaj! To z ciebie naprawdę magister! – Mietek zaśmiał się z kpiącym wyrazem twarzy i odsunął się od Marcina jak od nosiciela groźnego wirusa. – To wy teraz z Tadekiem i Zenkiem koledzy!

– Jakie to ma tutaj znaczenie?! – zaprotestował urażony Marcin. – Tak samo przyjechałem do pracy jak wy! Tak samo chciałbym zarobić!

Tymczasem Mietek obserwował piruety grubasa tańczącego z dziewczyną Zenka.

– Lucek! – wrzasnął. – Lucek! Chodź tu zaraz napić się z magistrem.

– Ależ nie, dziękuję! Nie piję! – wzbraniał się energicznie Marcin.

Nie zważając na jego protesty, Mietek postawił przed nim pełną szklankę i sam sobie dolał wódki do piwa. Znowu wrzasnął:

– Lucek! Jak nie przyjdiesz, to wypijemy bez ciebie!

Lucek, wiedziony jakimś tajemniczym instynktem, oderwał się od partnerki i zatoczył na wolne miejsce po przeciwnej stronie stołu.

– Lucek... – wybełkotał i wyciągnął dłoń w kierunku Marcina.

Marcin machinalnie podniósł rękę, która zawisła w próżni, bo Lucek zdążył już chwycić wódkę stojącą przed Marcinem i wypić ją duszkiem.

– Zachowuj się, kiju złamany! – upomniał Mietek kolegę. – Magister się na nas obrazi!

Sięgnął po czystą szklankę. Nalał do pełna i znów postawił przed Marcinem.

– *Ich habe Durst! Ich habe Durst!* – wołała dziewczyna. Podparłszy się łokciem o kark pochylonego nad stołem Lucka, umoczyła wskazujący palec w szklance Marcina i zaczęła lizać.

– *Verzeihen Sie!* – mizdrzyła się do Marcina, udając małą dziewczynkę.

– *Das schadet nichts! Gute Reise!* – błaznował Lucek, który też zanurzył palec w wódcę Marcina i teraz starał się go wsunąć dziewczynie w usta. – *Hilfe!* – wrzasnął ugryziony.

– Spać! – warknął Zenek, który nagle pojawił się obok rozba-wionej przyjaciółki. – Wszyscy spać!

Posłuchała natychmiast, zamykając za sobą drzwi sąsiedniego pokoju.

– Co ja widzę? Zenek się zakochał? Zazdrosny? – Mietek wsta-wał, wolno cedząc słowa.

Zenek zmierzył wzrokiem sprężystą sylwetkę kolegi i roze-śmiał się nieszczerze.

– Też coś! Zazdrosny o jakąś kurwę! Rano was nie można dobu-dzić do roboty! A może już macie dość marek?! W porządku... Tadeusz porozmawia z Kerstingiem, żeby przyjął Marcina. Co? Marcin? Zastąpisz Mietka?

– Jak to zastąpię Mietka? – Marcin był wstrząśnięty. – W ogo-łe co to znaczy „zastąpię”? Przecież wszystko było uzgodnione. I także Jurek telefonował z Polski, i jemu też mówiłeś, żeby-m przyjeżdżał, bo jest wolne miejsce u Kerstinga.

– Mówiłem, nie mówiłem! Nie pamiętam! Co ty sobie myślisz? – zdenerwował się Zenek. – Że tu tylko czekają na takich jak ty? W kolejce ludzie czekają na robotę u Kerstinga! W kolejce! Na przykład Mietek!

Marcin spojrział machinalnie. Mietek z ironicznym wyrazem twarzy bawił się pustą butelką, nie spuszczając oczu z Zenka.

– Przyjechał tydzień przed tobą – ciągnął szybko Zenek – i musiałby długo czekać na robotę, gdyby nie zwolniło się miejsce po Tadku. A co by było, gdyby Tadek nie wstawił się za tobą u Kerstinga? No powiedz, Mieciu, co... – W głosie Zenka zabrzmiała nuta fałszywej życzliwości.

– Fakt! – przyznał niechętnie Mietek, z którego twarzy zniknął już ironiczny uśmiešek.

– No widzisz! – z wyraźną ulgą odetchnął Zenek. – Nie podskakuj! I miej lepsze oko na Kazia! Bo jak jeszcze raz będzie się u mnie awanturował, to możecie sobie obaj szukać miejsca w hotelu u Libertraua. A stamtąd do Kertsinga będzie dwa razy taka droga jak stąd. Po pierwsze wzrosną koszty. A po drugie, pamiętasz, co ci Tadzio powiedział na temat spóźnień? No...

Mietek gmerał w opornej pamięci jak uczeń wyrwany do odpowiedzi.

– Żeby się nie spóźnić?

– Jedno spóźnienie, Mieciu, i Kersting mówi *weg!*

– No to co, że opieprzy? Jakoś przetrzymam.

– Nie przetrzymasz! – zarechotał Zenek. – Bo jak on powie *weg*, to znaczy „precz”! A że robisz na czarno, to chcesz czy nie, musisz szukać nowej pracy. Zauważ! Jesienią! Nowej pracy! – szydził Zenek, patrząc na spokojną twarz Mietka.

– To znaczy, że dla mnie pracy nie ma – podsumował Marcin, przygnębiony nieznanymi mu wcześniej okolicznościami.

Zenek obojętnie wzruszył ramionami.

– W każdym razie możesz tutaj mieszkać... I dowiadywać się o miejsce. A tak w ogóle – dodał, widząc, jak Mietek, podtrzymując pijanego Lucka, znika w drzwiach prowadzących w głąb mieszkania – dziwię się. Że ty, z wyglądu inteligentny człowiek, zadajesz się z tymi chamami. – Pokazał na drzwi. – Jeszcze jeden taki numer – zwierzył się, ścisząc głos – i ich wszystkich wyrzucę.

Przez chwilę obaj milczeli.

– No to najlepszego! I głowa do góry! – Zenek wcisnął swojemu gościowi tę samą, wciąż pełną szklankę. Sam napił się wprost z butelki i otarł dłonią usta. Potem ziewnął potężnie i wlał Marcinowi resztę wódki. – Na drugą nogę i dobranoc! Możesz tu wywietrzyć przed snem. – Ogarnął posępnym spojrzeniem zadymiony pokój. – I połów się w rogu, żebyśmy rano nie szturchali cię kopytami, jak będziemy się śpieszyć do roboty. Była niedziela i już po niedzieli...

Podniosłam wzrok na Marcina.

– Skończyłaś?

– Tak.

– Dalej ja przeczytam. – Wziął kartkę leżącą na biurku.

AUSLENDER ROKU 1981 W KOELN

co na to pamięć, co na to Los,
trzynasty grudnia, czas bliski Świąt,
sklepy się stroją, uliczny tłum,
prezenty kuszą odpryskiem słońc

nieświętych mikołajów moc,
pijany kostium czapkę zdjął,
kostur wygraża wszystkim i mnie,
przekleństw germańskich brzmień

w Piekło nikt dzisiaj nie smaży się,
pora świąteczna, radosny szmer,
pijak wydała nienawiść do chmur,
a dla przechodniów martwy już

w progu sex shopu gejów dwóch,
tańczą na wrotkach żądz głód,
w przejściu podziemnym kloszard śpi,
w dupie ma Boga, ludzi i mnie

kiedy go mijam, pluje mi w but,
podeszwy wstrętu ślizgają się,

nogi przyspieszcie przenieść mnie,
z chodnika na lepszą stronę przejść

celu nie widać, zaszedł znów,
Auslender aus Polen, nawet nie Rus,
uszanka zamęt w głowie ma,
Boże szaleństwo przemień w strach

hamulców zgrzyt i opon pisk,
mercedes pyskiem zgwałcił myśl,
znad szyby wściekłość bucha już,
„Polnische Schweine – Kaput!”

– Pojechałem do Niemiec do pracy, którą miałem rozpocząć następnego dnia po przyjeździe. Wylądowałem w polskim piekle, bez nadziei na zatrudnienie. Zadzwoiłem do Andrzeja. Przyjechał tego samego dnia, spakował moje rzeczy i zabrał do swojego domu. Załatwił mi pracę po Nowym Roku. Trzynastego grudnia ogłoszono stan wojenny. Ojciec Krysi pracował w polskiej ambasadzie i od niej dowiedziałem się o internowaniach, w telewizji pokazywano czołgi na ulicach. Szalałem z niepokoju o życie moich bliskich. Jak wiesz, z ramienia Solidarności byłem odpowiedzialny za ochronę pracy w całym regionie. Nie mogłem się dodzwonić do Anny ani do matki. Bałem się, że je za mnie internowano. Byłem w depresji. Nie jadłem przez dwa tygodnie. Piłem tylko wodę i alkohol. Nachodzili mnie różni ludzie, proponując azyl za organizację wieców i uczestnictwo w nich. Nie zgodziłem się. Bez względu na to, co działo się w Polsce, nie wyobrażałem sobie, że mogę stać i robić zajaczki „V” palcami, i nadawać na swoją ojczyznę do Niemców. Postanowiłem wracać. Andrzej powstrzymywał mnie niemal siłą. Korzystając z jego nieobecności, wymknąłem się z domu i pojechałem na dworzec. Po drodze spotkałem pijanych Polaków i Niemców. Gdy się dowiedzieli, że wracam do Polski, okrzyknęli mnie kapusiem i zaatakowali. Stoczyłem z nimi walkę. Uciekając przed napastnikami, wyskoczyłem z drugiego piętra i zламаłem rękę. Na szczęście nadjechał pociąg. Wagony pustoszały w miarę zbliżania się do granicy. Do kraju wjechałem sam. Pojechałem do matki. Zastałem bliskich przy wigilijnym

stole. Anna wydawała się bardzo rozczarowana moim przyjazdem i rezygnacją z zatrudnienia. Powiedziała, że zostałem zwolniony z pracy. Zamknąłem się w pokoju i leżałem w nim tygodniami twarzą do ściany. Z marazmu wyrwał mnie płacz Kasi, która wróciła z kościoła po niedzielnej mszy, na której ksiądz z ambony publicznie ją i mnie napiętnował z powodu niewpuszczenia go do domu, gdy chodził z kolędą. Zebrałem się i poszedłem do kościoła porozmawiać z księdzem. Zostałem butnego faceta w sukience, który nie przyjął do wiadomości, jakie zło uczynił. To wydarzenie miało negatywny wpływ na moją córkę. Nie tylko odsunęła się od Kościoła, ale się zmieniła. Stała się ciekawa wszystkiego co zakazane. Pewnego dnia zobaczyłem jej szklany wzrok i z przerażenia zjeżyły mi się włosy na głowie. Nie odpuściłem, dopóki nie trafiłem do źródła. Na jej i moje szczęście był to jednorazowy wybryk. Byłem bezrobotny. Po wielu nieudanych próbach udało mi się załatwić pracę w szkole. Nauczałem historii starożytnej. Okazało się, że mój sposób uczenia nie był poprawny politycznie, więc szybko straciłem posadę nauczyciela i zatrudniono mnie jako stróża. Dzięki poręczeniu mojej przyjaciółki otrzymałem pacę w centrali rybnej przy sortowaniu ryb. Ale też nie cieszyłem się nią długo. Stan wojenny był moim koszmarem. Trzynasty grudnia to data, którą chciałbym usunąć z kalendarza. W tym dniu zawsze dopada mnie koszmar minionego czasu. – Marcin posmutniał.

– To już za nami. Pora zapomnieć.

– Nigdy nie zapomnę. Moje życie zawodowe i rodzinne zostało wyrwione do góry nogami. Teraz za sprawą mojej córki demony wróciły. Wyrzucam sobie brak reakcji na bezczelność i chamstwo Kasi, jakie dzisiaj pokazała. Sytuacja mnie zaskoczyła i przerosła. To nie powinno się było zdarzyć.

– Zadzwoń jutro do Andrzeja.

– I co mu powiem? Przepraszam za córkę? Widziałaś, jak Sebastian patrzył na ojca?

– Przyjaźnicie się od kilkudziesięciu lat. Jestem pewna, że Andrzej cię zrozumie. Sam ma kłopoty z synem, z którym sobie nie radzi. Jego wpływ na Sebastiana jest ograniczony, tak jak twój na córkę. Gdybyś zareagował na zachowanie Kasi, i tak nie zmieniłoby to sensu jej wypowiedzi i wrażenia, jakie zrobiła. Na szczęście ten dzień się skończył. Postarajmy się odpocząć.